

ANNA FRAJLICH

WIERSZE

CYKLIČNOŚĆ

Znowu Marks
nieważne stary czy młody
najważniejsze
że w modzie znów w modzie

Marks jest cudowny
mówi studentka
której rodzice uciekli od marksistów

Marks jest wspaniały
mówi student filozofii
to marksści źle czytali Marksa

biedny Marks skrzywdzony przez marksistów
niedoczytany
niezrozumiany
znieważony

ale już filozofowie i poeci
w aureolę zmieniają
jego cierniową koronę.

Znowu Marks!

18 stycznia 2008.

KARTOFLE

Nie wiadomo dlaczego i skąd
wiatr przynosi kwaskowatą
woń zgnitych kartofli
jest październik to prawda
ale daleko stąd do
kartoflanych pól
pewnie jeszcze zostały jakieś
na Long Island – Długiej Wyspie
która była kiedyś jednym
wielkim kartofliskiem
a może tak właśnie pachniała
Wielka Depresja
o której mówi się nieustannie
może tak pachniał ten łąd
zanim odkryto
że ta mała brunatna bulwa
daje się upiec i zjeść
że można nią nakarmić
trzody i narody

może właśnie tak pachniała Ameryka
przed odkryciem.

17 października 2008

SĄ KIEDY CHCĄ

*a Chinki praktycznie w ciąży
są zawsze
Wasył Machno*

SKLEP RYBNY
(z cyklu „Chinatown”)

Niech będą w ciąży
pregnant
impregnated
niech noszą
w worku macicy
błogosławione ziarno
tu w tym kraju
nikt im nie wyrwie tego
co opłacone ofiarą seksu
krwi
młodości
ofiarą której
niczyje słowo
dosięgnąć nie może
tylko w Chinach
nie wolno im być
w ciąży
tylko tam muszą zrzucić małe dziewczynki
z jakiejś tarpejskiej skały

w ciąży są zawsze

może nie zawsze
ale są
kiedy chcą
w brzemiennym brzuchu
Chinatown.

2008

ŻÓŁW MOŻE

Wojciechowi Ligęzie

Deszcz jeszcze nie spadł
zza wzgórz płyną chmury
odbite w rzęsach rzęsy na jeziorze
gdzie żółw bez żadnych
zbędnych sztuczek może
zwinniej niż zajęc
dopłynąć do mety
bo zając pływać nie umie niestety.

24.VII.2008

JEDZIEMY

Chmury odbijają się
szarosinym odcieniem
od dogasającego nieba
przejechaliśmy już
Nowy Jork, Connecticut,
przecinamy w mroku Massachussetts
zieleń drzew przechodzi w czerń
przed nami na autostradzie
czerwone ogniki świateł

Vermont – zielona góra
tonie już pewnie w ciemności

powoli pustoszeją drogi
coraz ktoś skręca
do leżących wzdłuż szosy miasteczek
parkuje samochód wchodzi
sporządza koktail albo
zaparza herbatę
włącza telewizor i już jest
w domu

przez wzgórza przez chmury
przez korony drzew prześwieca jedna
jedyna gwiazda
– Północ
a my jeszcze dalej
na północ
w noc.

28 maja 2010.

ZNAK WIEKU

Kiedy mój
dziesięcioletni wnuk
stawia datę
z liczby lat odrzuca
pierwszą dwudziestkę
– znak wieku
który tak niepostrzeżenie
wymknął nam się z rąk

ani on nie widział
dwudziestego wieku
ani dwudziesty wiek
jego

może lżej mu będzie
bez ciężaru
który ciągnie nas ku dołowi
i pogania w stronę tych
co odeszli.

26.X.2010

Pierwodruk w „Przeglądzie Polskim”.

NIE MOŻNA WYMYŚLEĆ LEPSZEJ RANY

Z ANNA FRAJLICH ROZMAWIA BARBARA KLICKA

BARBARA KLICKA

Jako poetka debiutowała Pani w „Folks Sztyme”, prawda?

ANNA FRAJLICH

Tak, pierwsze moje wiersze były wydrukowane w polskim dodatku do „Folks Sztyme”. Byłam na wakacjach w Poroninie, nie na obozie młodzieżowym, a prywatnie z matką i tam była Hadasa Rubin. Moja matka po prostu pokazała Hadasie moje wiersze. Hadasa stwierdziła, że ona nie może takiej odpowiedzialności wziąć na siebie, ale miał tam przyjechać Stanisław Wygodzki. Tak się złożyło, że Wygodzki otworzył zeszyt z moimi wierszami na tekście, który brzmiał tak: „Tak ciężko mi dzisiaj na sercu/ a w serce/ jak drążek dentysty smutek się wwierca, za rękę chce złapać/ sprawcę mojej męki/ niestety/ mój smutek bezręki”. I wtedy Wygodzki orzekł: niewątpliwy talent poetycki. Hadasa Rubin urządziła mi więc debiut w dodatku do „Folks Sztyme”. Prawie równoległe debiutowałam w „Głosie Szczecińskim”. Miałam wtedy 16 lat. Trochę później przyznano mi nagrodę literacką w Szczecinie. I to było tak, że pierwszej nagrody nie przyznano, drugą dostał Edward Balcerzan, a trzecią nagrodę ja razem z jakąś kobietą, której nigdy w życiu nie spotkałam.

Chciałam zapytać o Pani kontakty dziecięce z jidysz, czy u Pani w domu mówiło się w tym języku?

Rodzice mówili trochę w jidysz, ale to był ich język prywatny. Nie miałam kontaktów żadnych, nic nie zapamiętałam i jakoś nie starałam się zrozumieć, co oni mówią.

To taki dość powtarzający się motyw, że jidysz jest dla dzieci takim językiem zakazanim, w tym sensie, że kiedy rodzice nie chcą, żeby dzieci ich rozumiały, to wtedy mówią w jidysz.

Moi rodzice pochodzą z Galicji i ich polszczyzna była naprawdę wspaniała, przykładowa i w zasadzie nie było dwujęzyczności w naszym życiu. Także moje kontakty z jidysz były żadne. Piosenki czasem śpiewali, bo bardzo dobrze śpiewali. Nie chodziłam do szkoły żydowskiej. Nie mam żadnych takich językowych wspomnień, słów, które znaczyłyby dla mnie dzieciństwo. A tak, jak szłam do teatru żydowskiego Idy Kamińskiej, to zawsze brałam słuchawki.

Przeglądałam Pani wiersze w tłumaczeniu na jidysz. Rozumiem, że skoro to nie jest język Pani wspomnień, to to jest jakiś gest...

Wiersze przetłumaczył mój teść – Michał Zajac.

Ale się Pani na to zgodziła...

Tak, bezwzględnie. I nie tylko na to. To bardzo śmieszne, ale jedna z moich pierwszych prac w Ameryce polegała na tym, że opiekowałam się starszką, która mówiła tylko w jidysz. Bardzo potrzebowałam tej pracy, bo 2 dolary za godzinę, to było dla mnie wtedy bardzo dużo. A z drugiej strony ni w ząb nie znałam jidysz. Nauczyłam się kilku słów i poszłam na spotkanie z córką tej starszki, ona mnie zapytała, czy ja rozumiem jidysz, a ja odpowiedziałam *a bisele* i zostałam przyjęta. Przez jakiś czas opiekowałam się tą starszką, a ona mnie bardzo lubiła, bo pozwalałam jej kąpać się w wannie, na co nie pozwalała jej już córka. To było też moje pierwsze doświadczenie z koszernym. Ścierki ze szlaczkiem niebieskim i ze szlaczkiem czerwonym, mydło takie, mydło takie, inne naczynia. To była moja żydowska inicjacja.

Do tych jidyszowych tłumaczyń Pani wierszy Miriam Hoffman napisała komentarz, w którym między innymi żartuje sobie na temat tego, jak Panie porównują liczbę swoich studentów na jidyszystyce i polonistyce. Czy filologia polska jest tak samo egzotyczna w Nowym Jorku jak w Warszawie filologia jidysz?

Na pewno jest egzotyczna. Nawet nie ma czegoś takiego jak filologia polska, jest po prostu wydział slawistyki, na którym największą rolę, na wszystkich uniwersytetach, odgrywa rosyjski, niemniej jednak jest polski, czeski, serbski, chorwacki. Ta liczba studentów jest w dużej mierze zależna od mody, tak że to co roku się zmienia. Mamy z Miriam również wspólnych studentów, którzy są zainteresowani i jidysz, i slawistyką.

Jednak Miriam Hoffman w tym komentarzu, o którym wspomniałam, wyraża również żal, że Pani nie pisze w jidysz, mimo że jest Pani prawdziwą poetką. Twierdzi, że ona słysząc polski, czuje odrazę. Używa tego słowa.

Oczywiście, nie odpowiadam za nią, ale uważam, że to jest niesłuszna postawa. Taka postawa równie dobrze mogłaby się odnosić do jidysz... Nie mogę odpowiadać za nią, ale ja absolutnie nie podpisuję się pod tym. Nawet nie wiedziałam, że tam to jest. Sądzę, że to jest taki sam rasizm jak odwrotnie.

Wyobrażam sobie jednak, że można czuć pewien dyskomfort w obcowaniu z językiem polskim, mając taką historię emigracyjną, jak ma Pani i wielu innych emigrantów '68 roku.

Człowiek nie może się obrazić na język, na kulturę. Nawet jeśli Polska nie jest moim krajem, to język polski nim jest. Oczywiście można mieć żal do polityki, można mieć żal do konkretnych ludzi, którzy okazali się wtedy antysemitami. Ale tak się składa, że takie same odczucia mam w stosunku do ludzi, którzy są antypolonistami. Język polski jest moim językiem, język polski jest językiem mojej matki, to jest język, w którym mówili do mnie rodzice. Po polsku napisałam swój pierwszy wiersz. Mój ojciec znał bardzo dobrze jidysz i hebrajski, ale kochał też polską literaturę. Po rodzicach odziedziczyłam polszczyznę i po rodzicach odziedziczyłam miłość do tego języka, do kultury, do literatury. To nie znaczy oczywiście, że zapomniałam o złych doświadczeniach, to nie znaczy, że nie piętnuję pewnych faktów. Myśmy stracili całą rodzinę podczas wojny, a potem, wiadomo, ten '68, ale obrażanie się na język to czysty nonsens.

Jakie zjawiska w polskiej literaturze są Pani szczególnie bliskie? Wiem, że Pani zajmowała się nieco Karpowiczem, prawda?

Prawda, zajmowałam się. Karpowicza poznałam gdzieś w '80 chyba roku w Chicago. Pojechałam tam robić wywiad dla Wolnej Europy, ale też promować którąś ze swoich książek i przy tej okazji go poznałam. Z czasem bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Widzieliśmy się tylko cztery razy w życiu, ale kontaktowaliśmy się przez telefon, listownie i to było bardzo ciekawe. W pewnym momencie, to było dla mnie bardzo interesujące i wciąż tajemnicze, że jak Karpowicz przechodził na emeryturę, to poświęcił swoje ostatnie seminarium magisterskie moim wierszom. Przecież moje wiersze są zupełnie inne, ja jestem z zupełnie innej szkoły. On kochał Przybosa, awangardzistów, Norwida. Napisałam dla niego trzy wiersze, a on poświęcił mi swoje seminarium, na którym studenci – dwoje czy troje – pisali prace o moich wierszach. Karpowicz pokazał mi, jak on analizuje te moje teksty. Kiedy on analizował jakiś wiersz, przepisywał go ręcznie i potem różnymi kolorami podkreślał. To, co mi pokazał, wyglądało trochę jak obraz. Obiecał, że mi taki obraz na moim wierszu podaruje, ale oczywiście nigdy do tego nie doszło. Jest to chyba gdzieś w jego archiwum, w Ossolineum. To była taka przyjaźń i osobista, i – powiedzmy – literacka. Na nasz kontakt miało być może wpływ też to, że Karpowicz był w Stanach trochę jednak zapomniany.

Ale teraz w Polsce odkrywa się Karpowicza na nowo i zainteresowanie jego twórczością przechodzi renesans.

Tak. Jestem bardzo szczęśliwa z tego powodu. Uważam, że to mu się należy, że tyle lat tej samotności przeżył...

W odniesieniu do Karpowicza, ale też a propos Pani języka poetyckiego, przyszło mi do głowy takie zdanie Miłosza, gdzie Miłosz twierdzi, że awangardziści raczej się jednak mylili.

Tak. Awangardzistów było bardzo wielu.

Chciałam zapytać, czy Pani wybór języka, który jest językiem nastawionym na komunikację, pięknym, soczystym, ale komunikatywnym z założenia, czy to jest też wybór dotyczący wyboru pewnej szkoły?

Nie, nie. Nie wiem, do jakiego stopnia to był w ogóle mój wybór. Kiedy zaczęłam pisać byłam bardzo młoda, wtedy jednocześnie wydano Pawlikowską, Szymborską i Leśmiana. Bo do '56 roku faktycznie nie było Leśmiana i Pawlikowskiej, chociaż to są dwie tak różne szkoły. Także myśmy – moje pokolenie – w pewnym momencie po '56 roku dostali cały taki wachlarz. Ja faktycznie niespecjalnie interesowałam się awangardą, ale to nie dlatego, że istnieje jakiś wybór, że ja ją odrzuciłam, ale po prostu te inne wiersze bardziej do mnie przemawiały. Później czytałam i to, i to i pewne rzeczy awangardowe też na mnie podziały. Można w różnych miejscach znaleźć pewne inspiracje. Nie wszyscy, którzy naśladują powiedzmy Miłosza, czy Białoszewskiego, są dla mnie jakimiś wielkimi objawieniami. Wszystko zależy od jakości tego awangardowego gestu.

Wydaje mi się, że w Pani twórczości najczęściej powracają dwa wątki: pierwszym z nich jest emigracja, drugim miłość, czy też może bardziej erotyka. O drugim z tych tematów za moment, a póki co chciałam zapytać, czy byłaby Pani poetką, gdyby Pani nie wyjechała?

Ta emigracja to jest moja trauma. Rilke pisał, że poezja wymaga rany i ja się z tym zgadzam. Nie można wymyślić lepszej rany, niż wyrwanie człowieka z jego kraju, z miejsca, które się nazywało ojczyzną, z języka, i wrzucenie go prosto do jakiegoś burzliwego oceanu. Nie można pomyśleć lepszej rany. I zobaczyłam to już w Rzymie. Zaczęłam tam pisać wiersze, których w ogóle nie można porównać z tym, co pisałam przedtem. Bo tak jak mówię, to jest rana, to jest pokarm, którym żywi się cała w zasadzie sztuka. I nie mogę tego przecenić, jeśli chodzi o moje doświadczenie, doświadczenie pisania.

Jest Pani taka bardzo afirmatywna i w swojej twórczości, i – jak słyszę teraz – prywatnie również prezentuje Pani taką postawę. Ślady głębokiej wiary w to, że złe doświadczenia w gruncie rzeczy przynoszą nieoczekiwane dobre skutki, można znaleźć w wielu miejscach Pani twórczości. Takie spojrzenie wydaje mi się dość niepopularne wśród artystów i jakoś Panią odróżniające.

To prawda, niepopularne. Człowiek w jakimś sensie jest skazany. Taki emigrant, o którym ja myślę i piszę, to jest człowiek wyrzucony, opuszczający jakieś miejsce nie z własnej woli, w pewnym sensie skazany na swój los. Tylko, że człowiek nie chce być skazany, człowiek nie chce dożywać swego życia. Człowiek chce to życie przeżywać, znaleźć jakieś swoje nowe miejsce. Nagle, gdy stajemy wobec zupełnie innych obyczajów, innego języka, to to jest wyzwanie. Ja jakoś wchłonełam taki amerykański i protestancki etos, że los trzeba przezwyciężać, choćby to było beznadziejne, że las trzeba wykarczować, żeby założyć farmę. Przypuszczam, że gdybym nie wyjechała, to bym może jeszcze przez dwadzieścia lat siedziała w Polskim Związku Niewidomych. Bo ja zawsze byłam energiczna, ale kiedyś nie byłam osobą asertywną, która sama, na własną rękę będzie sobie szukać miejsca. Zostałam do tego, żeby się tego nauczyć, zmuszona. Mówiłam Pani, najpierw uczyłam na uniwersytecie, a potem poszłam się zajmować starszą i jedyną moją kwalifikacją, że tak powiem, byłaby znajomość jidysz,

która w tym przypadku, była moją kwalifikacją negatywną... Musiałam tam znaleźć jakieś nowe środowisko i znalazłam je. To było środowisko polskiej emigracji. I to było coś, co było jakimś takim oparciem dla mnie, co było bardzo silne. Byli tam też polscy Żydzi z Armii Andersa. I tylko dzięki swoim wierszom poszłam dalej studiować.

Co to znaczy, że dzięki wierszom?

Spotkałam w pewnym momencie Panią profesor Zoyę Yurieff z New York University. Ona знаła moje wiersze z „Wiadomości”. Profesor Yurieff była pół Polką, pół Rosjanką, zajmowała się Tuwimem i Wittlinem. Napisała o Józefie Wittlinie chyba pierwszą książkę. Ktoś mnie jej przedstawił, powiedział, że ta Pani pisze wiersze i podał moje nazwisko. Zapytała mnie, co robię. Powiedziałam, że pracuję w laboratorium. A ona na to: Pani powinna się znaleźć na uniwersytecie, Pani miejsce jest na uniwersytecie. Myślałam o tym, ale miałam ponad trzydzieści lat, i sądziłam, że to już nie dla mnie. A Pani Profesor powiedziała: proszę składać podanie, ja Pani napiszę rekomendację. Nawet nie mieliśmy dość pieniędzy, żebym zaczęła studiować w pełnym wymiarze, więc zaliczałam co roku połowę przewidzianego programu. I nie myślałam, że zrobię doktorat, myślałam, że postudiuję, a potem, jak pójdę gdzieś do pracy, to mi pokażą, że to i tak nic niewarte. No, ale zrobiłam doktorat i jeszcze przed tym dostałam pracę na Uniwersytecie Columbia – uczyłam języka, najpierw jeden kurs, potem dwa kursy. Po jakichś dziesięciu latach dostałam pełen etat. Także to był proces, niejednokrotnie dość bolesny. Swoją pracę doktorską pisałam dziesięć lat, bo jednocześnie również wychowywałam dziecko i pracowałam. Niemniej jednak to była droga, która się sama wytyczała – jeden krok i potem następny.

Chciałam zapytać także o drugi przewodni, w moim odczuciu, temat Pani pisania – o Pani wiersze miłosne i o język erotyzmu, którego w nich Pani używa. Mam wrażenie, że jest Pani zasadniczo odważniejsza w pisaniu o tej sferze życia, niż większość autorów, a już na pewno autorek, z Pani pokolenia.

Bardzo się cieszę, że Pani to zauważyła i myślę, że to jest temat. Regina Grol napisała esej, w którym łączy erotykę z wygnaniem. Tak, myślę, że byłam odważna. Wiem, że to jest u mnie. I chciałabym może nawet, żeby ktoś się tym bardziej zainteresował... Ale jest też u mnie kwestia krajobrazu, klimatu, obcego krajobrazu i wszystko to wpływa na skalę zmysłowych doznań. No, a poza tym byłam młodą kobietą i to też nie pozostaje bez śladu. Krew nie woda, majtki nie pokrzywa...

Wydaje mi się, że wyjazd z Polski do Ameryki w tamtych latach musiał oznaczać również zetknięcie się z drastycznie nowym językiem dotyczącym tej sfery życia.

Na pewno. Nie mogę Pani o tym jakoś wnikliwie opowiedzieć od strony literackiej, bo nie zajmowałam się – w przeciwieństwie do wielu tutejszych poetów – amerykańską poezją. Nie sądzę, żeby amerykańska poezja miała na mnie jakiś wpływ, bo nie miałam możliwości ani czasu się nią zajmować. Chociaż bardzo lubię Frosta. Ale sama Ameryka, być może, na mnie

wpłynęła pod tym względem. Ktoś gdzieś powiedział, że niektóre fragmenty moich opowiadań przypominają mu jakieś obrazy z poezji Charlesa Bukowskiego, ale ja nawet specjalnie nie znam Bukowskiego. Te wpływy dotarły do mnie być może nie *via* poezja, ale *via* powietrze. I też nie to, że ja tam byłam w jakimś środowisku; nie należałam przecież do żadnej grupy. Mogłam pisać, co chciałam. Ale zaznałam niestychanej intensywności spowodowanej tym wszystkim. Stąd te wszystkie przenośnie dotyczące wiatru, wody, oceanu, walki tych żywiołów – ich konfrontacja stała się obrazem uczuć miłosnych i erotycznych.

Czyli zgodziłaby się Pani z taką tezą, że cielesność, erotyzm jest prawdziwym schronieniem Pani bohaterki?

Tak, bezwzględnie. I też jest jakąś ucieczką w szalenie wymagającym, bezwzględnym środowisku. Bezwzględny dlatego, że się go nie zna. Jako rodzina spotkaliśmy się z bardzo wieloma gestami życzliwości, niemniej jednak ta walka z życiem, walka z czasem, z tym, że się człowiek boi, że przegra życie, że go nie przeżyje, że będzie przez cały czas na marginesie – wszystko to jest tak naprawdę gigantyczny stres, który oczywiście wytwarza jakąś wzmożoną potrzebę kontaktu i schronienia.

Czy Pani wymyśla historie czasem? Czy wszystkie historie, które Pani opowiada, są Pani historiami?

W *Laboratorium* nie ma wymyślonych historii. Nie tyle wymyślam, ile po prostu pewne historie z różnych doświadczeń łączę. Powiem Pani – żeby pisać prozę, trzeba mieć czas. Ja go nie mam. Nigdy nie było tak, że siadałam i wymyślałam jakąś akcję, jakąś fabułę. Nigdy nawet tego nie próbowałam. Jakaś transformacja doświadczenia, zmiana zawodu danej osoby, czy imienia, czasem połączenie przeżyć związanych z dwoma równoległymi historiami, ale fikcji u mnie nie ma.

Anna Frajllich – poetka, prozaiczka i wykładowczyni literatury. Urodziła się w Kirgizji w 1942 r. w rodzinie pochodzących ze Lwowa polskich Żydów. Po wojnie wraz z rodzicami trafiła na fali repatriacji do Szczecina. Studia polonistyczne ukończyła na Uniwersytecie Warszawskim. Opuściła Polskę na początku 1969 r. wraz z mężem Władysławem Zającem. Osiedliła się w Stanach Zjednoczonych, gdzie pracuje na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku na Wydziale Języków i Literatur Słowiańskich. Jest laureatką nagród Fundacji Kościelskich i Fundacji Turzańskich.

Barbara Klicka – prezeska Fundacji 100 Sztuk, redaktorka „Cwiszn”, współzałożycielka serwisu literackie.pl. Zdarzało jej się pracować w warszawskich teatrach, bywać recenzentką, scenarzystką i animatorką szeroko rozumianego życia kulturalnego.